

Nasza transklasa

24 stycznia 2022

Z wielu powodów, prywatnych i zawodowych, zastanawiam się często nad tym, czemu od czasów transformacji stale słyszy się tyle kłamstw na temat PRL-u. Nieprawdy, półprawdy, gównoprawdy, ale przede wszystkim wielkie przemilczenia, jak o zmarłym krewnym, który był czarną owcą rodziny i wszyscy chcą już o nim zapomnieć, ale jakoś jego duch stale nawiedza rodzinne spotkania. Jest to bardzo ważne, może nawet definiujące kondycję naszych czasów zjawisko, więc będę do niego wracać. Dzisiaj o jednym wątku – o awansie społecznym.

Bo wszak PRL dał ludziom z niższych klas potężne pchnięcie w górę. Potem w okresie transformacji to się zatrzymało i dla wielu grup społecznych – odwróciło, a dla innych zintensyfikowało, przyspieszyło. Jednak bez PRL-owskiej windy w górę bylibyśmy w innym miejscu. Ja również byłabym kimś innym, na pewno nie profesorem zwyczajnym – jestem inteligentką w drugim pokoleniu i moje korzenie są robotniczo-chłopskie. Po moich robotniczo-chłopskich rodzinach odziedziczyłam nie kapitał kulturowy, lecz ciekawość poznawczą, upartą odwagę i optymizm kogoś ostro mobilnego w górę. Słabą orientację w tym, co wypada, z kim, jakie wrażenie należy zrobić na kim. Silne przekonanie, że edukacja rozwiąże jeśli nie wszystkie problemy świata, to raczej większość, a na pewno moje własne. Wiem też, że to wszystko mało by mi pomogło, gdybym szykowała się do lotu w potransformacyjnych czasach. Te cechy są teraz obciążeniem. Były znakami rozpoznawczymi w społeczeństwach awansu społecznego. Jako sygnały wychwytywane są przez innych w podobnej sytuacji. Nie zabrnęłabym pewnie zbyt daleko, gdyby osoby o podobnych stygmatach, bez związków pokrewieństwa, znajomości, wzajemnych zobowiązań – tylko dla tego podobieństwa – po drodze mnie nie dostrzegły i w kluczowych momentach nie podały mi ręki.

Dla zestablizowanych elit wyglądamy niedobrze: arrivistes;

zawsze coś kłuje w oczy, wystaje nam słoma z butów, brak nam ogłady, nie umiemy się zachować, nie mamy taktu. A przede wszystkim nie mamy tej całej sieci wujków, stryjków, zblazowanych koleżanek cioci babci z prywatnej szkoły, tych gwarantów, mentorów, odźwiernych czy po prostu zdolnych do wskazania drogi.

Herbert biadolił swego czasu, że PRL kusił go zbyt mało przekonująco. Mnie tam kusił o wiele bardziej niż to, co po nim nastąpiło. PRL miewał przyjemną mieszaną kulturę ludowo-inteligenckiej, z różnymi falami wzrostu i upadku. Ta mieszanka bywała momentami ciekawa, niebanalna, zaskakująca. Właśnie ci wszyscy arrivistes wyglądający w każdym ubraniu jak wymięci po długiej, męczącej podróży, miewają w oczach czar i blask jak nikt inny. Bywa, że wiedzą o tym stare kulturowe klasy, szlachetna inteligencja, la grande bourgeoisie wie, że bez nas by się skalcyfikowała – i dlatego miewamy nadal swoje miejsce w społeczeństwach, gdzie są one aktywne. Nie w neoliberalizmie.

Neoliberalizm to jeden wielki pochód triumfalny klasy średniej. Od czasów prorokini drobnomieszczaństwa Thatcher trwa totalna kolonizacja świata przez tę warstwę: jej moralność, jej estetykę, jej zasady, ambicje i dążenia. Wciskają się wszędzie, nie ma już takiego miejsca, gdzie nie dyktują wszystkim swoich zasad. Są jako klasa pełni zazdrości, asertywnego przekonania o własnej doskonałości. Generalnie pogardzają klasami niższymi od siebie i powierzchownie naśladują klasy wyższe, nie dbając o żadną głębię ani o wartości. Tylko pozory są ważne, tylko powierzchwnia. Zdobyć „pieniąжки” i zachwycić się sobą. To nie są czasy ani warunki dla arrivistes. A szkoda. Jesteśmy nie tylko czarujący, ale i potrzebni.

Wszędzie tam, gdzie otwiera się blokada klasowa i można awansować, od rewolucji francuskiej poprzez Napoleona i jego wojaków, a na angielskim romansie z socjaldemokracją w latach od II wojny do połowy lat 1970. – wszędzie tam wyzwala to

nieprawdopodobną energią, tryskają nowe idee, geniusze rodzą się na kamieniu, pojawia się ten wiatr odnowy, który potem w historii sztuki zapisuje się jako okres szczególnie inspirujący, a w nauce jako lata nowych prądów i odkryć. Pojawiają się nowe pytania, nowe trendy, zdarzają się ciekawe próby odpowiedzi. A czasem tylko szalone mody. I też dobrze.

Francuska filozofka Chantal Jaquet, pisze o transclasses, transklasach – osobach znajdujących się w ruchu pomiędzy klasami społecznymi. Klasa jest dla niej nie tożsamością, lecz dynamiczną relacją. Przejście pomiędzy klasami wymaga pokonywania wielu niespójności, co jest trudne i energochłonne. Stąd wiąże się to z zestawem afektów i aspiracji, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Polega na używaniu kodów kulturowych wywodzących się z różnych środowisk, często twórczym. Na przykład obecnie gwiazdy sportu dokonują przekraczania granic, co kreuje interesujące postaci, ale za cenę dysonansów, np. bycia postrzeganymi jako „nieokrzesani”.

Otóż myślę, że cały PRL był jedną wielką transklasą. Dlatego wstydzimy się go, bo on mówi o tym, kim jesteśmy i skąd przybywamy, zdradza coś, co jest pod powierzchnią – w świecie, gdzie powierzchnia jest najważniejsza, bo dająca moc definiowania świata na zasadzie tożsamościowych ukazów. Staramy się wyprzeć to coś pod powierzchnią, tę kolektywną słomę wystającą z butów. W popularnych telewizyjnych serialach opowiadana jest nasza kulturowa historia, jakby to nie istniało, tyle że puste półki (kiedy? w latach 80. czy 70.? w Polsce czy w Rumunii? mniejsza o to...) i ubecja śledząca każdego kierownika działu zaopatrzenia i każdą uczennicę szkoły podstawowej (w rzeczywistości czy na szpiegowskim filmie? mniejsza o to...). Był Bareja i łyżki na łańcuchach (fikcja, dla śmiechu? mniejsza o to...). I szare bloki. Nic więcej. Nic, co by nas osobiście dotyczyło czy definiowało. Definiuje nas kultura szlachecka przedwojnia, ewentualnie Skamandryci. Ewentualnie – ewentualnie! – jakiś pradziad

kosynier, który pod Kościuszką walczył o niepodległość. No bo jednak gdzieś jakiś chłop musiał nam się w społecznym rodowodzie trafić. Ale nie ma tego całego arrivistowskiego kontekstu, który tak dobrze pamiętam: wiotkie dziewczyny w niemodnych bluzkach recytujące Stachurę na dworcu w Szklarskiej, nierówno ostrzyżonych panów na prestiżowym zachodnim kongresie, będących wszak nieprawdopodobnie zdolnymi szefami, poetów „wałających się w przedpokoju” (cytat z przyjaciółki, która miała taki przedpokój). I hasło, które towarzyszyło nam wtedy w naszych nieraz alarmująco pretensjonalnych wieczorach przy węgierskim winie: bądźmy oryginalni za każdą cenę, zesrajmy się, a bądźmy oryginalni. Tak było. OK, zoomer, deal with it.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl